

Pierre Alexis  
de Ponson  
du Terrail

# Rocamboles

**NIEDOLE  
LONDYNU**  
część druga



**Tom  
24**



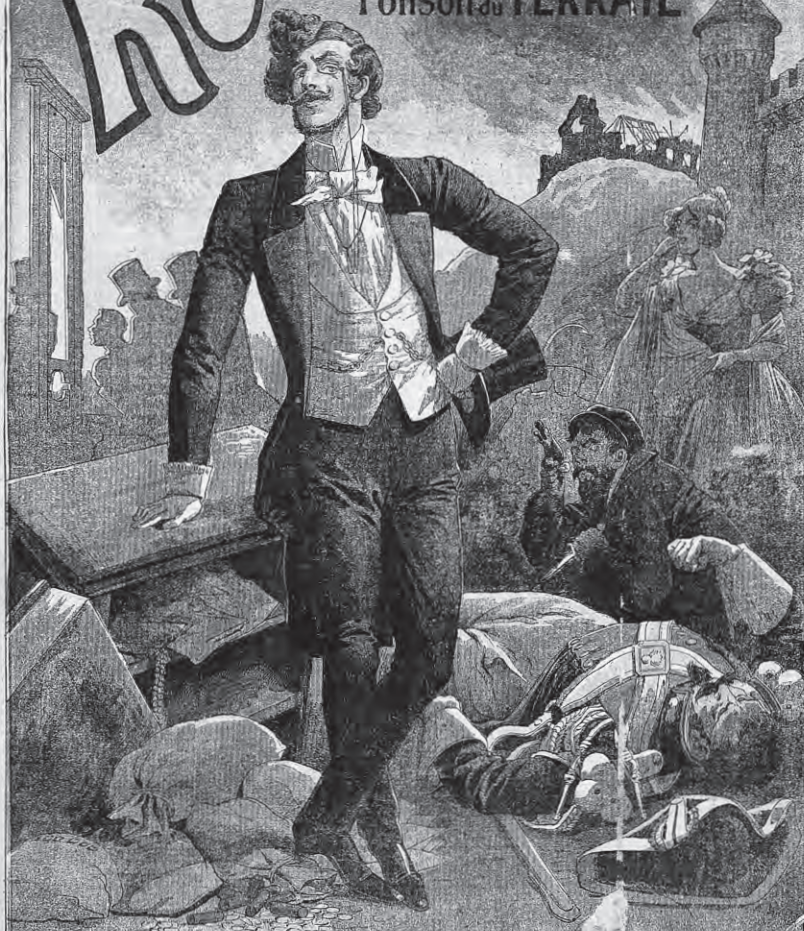
Ruda Śląska 2025  
ISBN 978-83-66268-19-7 (kolekcja)  
ISBN 978-83-67876-52-0 (tom 24)



LES DRAMES DE  
PARIS

# ROCAMBOLE

PAR  
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT  
Ce Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1<sup>er</sup>)

N° 1



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

# **Rocambole**



*Niedole Londynu*  
*część druga*



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis  
de Ponson  
du Terrail

# Rocamboles

**Niedole  
Londynu**  
*część druga*



Przełożył  
i przypisami opatrzył  
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo  
JAMAKASZ  
Ruda Śląska 2025

*Sto pięćdziesiąta trzecia  
publikacja elektroniczna  
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Dwudziesty czwarty tom  
kolekcji „Rocambole”*

**Tytuł oryginału francuskiego:** *Les misères de Londres*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2025

**45 ilustracji, w tym 40 kart tablicowych kolorowych:** Louis-Charles Bombled,  
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

**Redaktor kolekcji:** Andrzej Zydorczak

**Redakcja:** Maria Sarnowska

**Konwersja do formatów cyfrowych:** Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISBN 978-83-66268-19-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-52-0 (tom 24)



**Wydawnictwo JAMAKASZ**

[www.jamakaszk.pl](http://www.jamakaszk.pl)

e-mail: [jamakaszk2013@gmail.com](mailto:jamakaszk2013@gmail.com)

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2025



*Newgate*  
– cmentarz  
*straceńców*





# Rozdział I



**I**rlandka odbyła długą rozmowę z *Szarym Człowiekiem* w pokoju w dzwonnicy i bez wątpienia wiedziała, co się wydarzy, ponieważ nie wyraziła sprzeciwu i wsiadła do czteromiejscowej dorożki, którą Shoking, który poszedł przodem, wkrótce znalazł.

– Do Hampstead! – krzyknął *Szary Człowiek* do woźnicy.

Dziecko też o nic nie pytało. Czy nie było z matką i mężczyzną, który uratował je z *młyna*? Poza tym to dziecko było prawie mężczyzną, co już udowodniło. Odwaga i rozsądek, te dwie zasadniczo męskie cechy, wyprzedziły jego lata.

Ralph po raz pierwszy zobaczył *Szarego Człowieka* w więzieniu posterunku policji w Kilburn. Wszystko, co przepowiedział ten człowiek, który przemówił do niego w drogim dialekcie swojego kraju, spełniło się. Ralph ufał więc *Szaremu Człowiekowi* tak, jak ufał swojej matce, a kiedy *Szary Człowiek* powiedział do Ralpha, gdy powóz jechał dalej:

- Mój mały Ralphie, czy będziesz mi posłuszny?
- Och, tak, panie! – odpowiedział.
- Zrobisz wszystko, o co cię poproszę?
- Tak, proszę pana.

Dorożka ponownie przejechała przez Waterloo Bridge, jadąc przez bogate dzielnice aż do Holborn Street i dalej do Hampstead.

– Wracamy do *mistress Fanoche*? – zapytał Shoking.

To nazwisko spowodowało drżenie zarówno matki, jak i dziecka, ale na ich twarzach nie było widać strachu.

– Nie – odpowiedział *Szary Człowiek*. – Jedziemy tylko do mojego wiejskiego domu.

Shoking pomyślał, że źle usłyszał.

- Ma pan wiejski dom w Hampstead, mistrzu? – zapytał.
- Ja nie mam.

- Więc kto?  
- Ty.  
- Ja? - zapytał Shoking ze zdumieniem.  
- Ty sam, mój drogi.  
- Mistrzu - kontynuował Shoking - jestem przyzwyczajony do tego, że dokonujesz cudów, ale są takie, o których nie sędzę, by mógł dokonać sam Bóg.  
- Ba! - odparł *Szary Człowiek*.  
- Nie tylko nie mam domu na wsi, ale jutro nie będę miał domu w Londynie, ponieważ moja ostatnia tygodniowa pensja kończy się jutro i...  
Shoking umilkł.  
- I? - dopytał się *Szary Człowiek*, uśmiechając się.  
- I nie mam więcej pieniędzy - wyjąkał Shoking, spuszczać głowę.  
- Jak to? - zapytał *Szary Człowiek*, przybierając surowy wyraz twarzy. - Wydałeś już dziesięć funtów lorda Palmure'a?  
Głowa Shokinga opadła niemal do samej piersi.  
- Do licha! - odrzekł. - Myślałem, że nigdy się nie skończą i zbyt pochopnie wydałem.  
- Poza tym - powiedział *Szary Człowiek* - martwy nie potrzebuje domu.  
- Jak to, martwy?  
- Bez wątpienia.  
- Ale ja jestem jak najbardziej żywy! - zawołał Shoking.  
- Udowodnię ci później, nie tylko to, że jesteś martwy i że nie ma już na tym świecie Shokinga, ale także...  
- Ach, na świętego Jerzego! - zawołał Shoking. - Jestem łatwowierny, mistrzu, ale nie aż do takiego stopnia...  
- Poczekaj, a zobaczysz.  
Shoking spojrział na *Szarego Człowieka* z prawdziwym niepokojem. Mijali latarnię uliczną, której światło padało prosto na jego twarz.  
- Dobrze! - rzekł, wciąż się uśmiechając. - Zastanawiasz się, czy nie jestem szalony?  
Shoking nie odpowiedział.  
- A zamiast jechać ze mną do Hampstead, nie lepiej byłoby zabrać mnie do Bedlam<sup>1</sup>?

<sup>1</sup> *Bedlam* - jeden z pierwszych szpitali psychiatrycznych w Europie, znajdujący się w Londynie.



- Do licha, tak! - odparł naiwnie Shoking.  
- Cóż, miej trochę cierpliwości, mój drogi, a zobaczysz, że wszystko, co ci powiedziałem, jest czystą prawdą.

Shoking popadł w głęboką zadumę.

Niedawna scena na cmentarzu nieco namieszała mu w głowie, a słowa *Szarego Człowieka* wprawiły go w zakłopotanie. Jednak chyba jeszcze bardziej zdumiewało go to, że słowa te, choć dziwne, nie wywarły żadnego wrażenia na Irlandce, która nawet uśmiechnęła się blade dwa lub trzy razy.

Dorożka jechała jeszcze przez jakiś czas, po czym zatrzymała się.

Wtedy Shoking wsunął głowę w drzwi i rozpoznał Wrzosowe Wzgórze i dom *mistress* Fanoche.

- Ależ widać, że jedziemy do domu pani Fanoche - powiedział.

- Tak sądzisz?

- Do diabła, jesteśmy na Heath Mount.

- To prawda.

- A tam jest dom.

- Wyjdź, a zobaczysz...

W tym samym momencie *Szary Człowiek* podał rękę Irlandce, która wysiadła z dorożki, a za nią jej syn.

Shoking podążył za nimi. Starał się trzymać faktów, zastanawiając się, dlaczego *Szary Człowiek*, który zawsze był miły i czuły, wyśmiewał się z niego w ten sposób.

Jednak *Szary Człowiek*, zamiast iść w stronę bramy ogrodu pani Fanoche, zatrzymał się przy bramie obok niej, co Shoking doskonale widział, ponieważ mgła była mniej gęsta w Hampstead, które położone jest na wzgórzu, a między dwoma domami znajdowała się latarnia gazowa.

Jedną rzeczą, która nadal zdumiewała Shokinga, gdyby mógł być zdumiony czymkolwiek zwyczajnym po tym, jak właśnie został uznany za zmarłego, było to, że *Szary Człowiek* opuścił dorożkę po zapłaceniu woźnicy. Zamierzał zatem pozostać w Hampstead.

Kiedy *Szary Człowiek* zadzwonił do bramy, Shoking zobaczył, że na końcu ogrodu okno w domu, który wydawał się opuszczony, nagle się rozświetliło. Niedługo potem piasek w ogrodzie zatrzeszczał pod krokami mężczyzny i wkrótce otworzyła się brama.



Wtedy Shokingowi rozwiązał się język:

- Ale dokąd my idziemy? - zapytał.

- Odwiedzić twój wiejski dom.

- Znowu to samo!

- Ależ, do licha, tak! - odrzekł *Szary Człowiek*. - Czy mam w zwyczaju cię okłamywać?

Shoking, oszołomiony, spojrzał na tego, który właśnie otworzył bramę. Był to stary służący w liberii, o nienagannym zachowaniu. Trzymał w rękę latarnię i bez słowa uklonił się przybyszom.

*Szary Człowiek* pchnął Shokinga przed sobą i wciąż podając ramię Irlandce, która trzymała syna za rękę, cała czwórka weszła do ogrodu. Następnie lokaj zamknął bramę i poprowadził ich piaszczystą ścieżką prowadzącą do domu.

Shoking szedł chwiejnym krokiem.

- Myślę, że śnię - szeptał.

Weszli do rozległego holu wyłożonego marmurowymi płytkami i ozdobionego posągami oraz koszami kwiatów.

Lokaj otworzył drzwi po lewej stronie, a Shoking, coraz bardziej oszołomiony, zobaczył, że stoi na progu wygodnego i luksusowego salonu.

W kominku płonął żywy ogień z węgla kamiennego, a na środku pokoju stał zastawiony stół.

„W każdym razie - pomyślał Shoking - ten sen jest całkiem ładny”.

Rzekłszy to, wdychał intensywne zapachy unoszące się znad stołu.

Wtedy *Szary Człowiek* powiedział do niego:

- Musisz być głodny, bo zapomnieliśmy dziś o obiedzie.

- Ale skoro jestem martwy... - rzekł Shoking.

- To Shoking nie żyje...

- Shoking i ja to jedno i to samo.

- Za chwilę zobaczysz, że jest inaczej. Ale - dodał *Szary Człowiek* - dżentelmen tak delikatny jak ty nigdy nie usiadłby do stołu w tym nędznym ubraniu, w którym jesteś.

- Gdzie mam znaleźć inne, mistrzu?

- Twój kamerdyner zaprowadzi cię do garderoby i tam się przebierzesz.

- Mój... kamerdyner...?

– Oczywiście.

*Szary Człowiek* podszedł do kominka i pociągnął za sznur dzwonka. Wtedy Shoking, oszołomiony, zobaczył innego służącego, również w liberii, który, zwracając się bezpośrednio do niego, powiedział:

– Jeśli Wasza Miłość raczy pójść za mną, zaprowadzę Waszą Miłość do jego apartamentu.

Tym razem Shoking wydał głośny okrzyk i rzekł do *Szarego Człowieka*:

– Uszczypnij mnie w ramię, obudź mnie, nie chcę dłużej spać!



## Rozdział II



leż idź, głupcze! – powtórzył *Szary Człowiek*, popychając Shokinga za ramiona.

Tym razem Shoking zdał sobie sprawę, że nie śpi, ponieważ energiczne pchnięcie, które właśnie otrzymał, z pewnością by go obudziło.

Pogodził się więc i podążył za drugim lokajem. Ten poprowadził go z powrotem przez hol i z latarnią w ręku wszedł na marmurowe schody przed sobą.

Shoking stał się posłuszny, a idąc w górę doszedł do wniosku, że osobnik, który kpił z policji i otwierał drzwi więzień, jak ten *Szary Człowiek*, był zdolny do wszystkiego.

Kiedy dotarł na pierwsze piętro, lokaj poprowadził go przez przedpokój, potem duży salon, a następnie mały. Wszystko było wygodne i bosko luksusowe. Po małym salonie Shoking doszedł do sypialni, a po niej do ogromnej garderoby.

Na szerokim stole z żółtego marmuru leżały różne przybory z polzalanego srebra, szczotki z kości słoniowej, grzebienie z szylkretu, cały komfort i luksus kawalera, który nie chce się zestarzeć. Na kredensikach stały słoiki z kremem koloryzującym, kosmetyki, brzytwy, a w jednym rogu stała wanna pełna ciepłej, perfumowanej wody.

Shoking znów zaczął myśleć, że śni, ale sen stawał się coraz przyjemniejszy. Służący był poważny i dostoyny.

– Waszej Miłości dobrze zrobi kąpiel – stwierdził i zaczął go rozbierać.

W mgnieniu oka Shoking został uwolniony od lachmanów, obuty w korkowe pantofle i owinięty w delikatny lniany szlafrok; nie zdążył nawet krzyknąć „uff”, gdy był już w wannie.

– W międzyczasie uczeszę i ułożę włosy Waszej Miłości – powiedział kamerdyner i zabrał się do pracy.

Shoking pozwolił mu na to i doświadczył nieskończonej przyjemności czując, jak jego kończyny rozciągają się pod wpływem delikatnego



ciepła kąpeli, podczas gdy grzebień przeczesywał jego już siwiejące blond włosy.

Kwadrans później wyszedł z kąpeli. Jego łachmany zniknęły, ale na krześle leżało kilka nowych ubrań, batystowa koszula, biały krawat, kamizelka z metalowymi guzikami, a lokaj, beznamiętny, zaczął go ubierać tak poważnie, jakby nigdy nic innego nie robił.

Następnie, po zakończeniu toalety, zaprowadził go przed duże obrotowe lustro.

Shoking cofnął się jak porażony. Wyglądał jak par Anglii, kędzierzawy, pachnący i zadbany, a jego długa, wychudzona twarz miała nawet wyraz wyjątkowej dystynkcji.

Służący wziął ponownie latarnię i powiedział:

– Czy Wasza Miłość zechce zejść do jadalni?

Ale Shoking podjął nagłe postanowienie i spojrzał lokajowi prosto w twarz:

– Ach, łobuzie, wyjaśnisz mi? – zapytał.

– Co Wasza Miłość chce wiedzieć?

– Po pierwsze, kim jesteś?

– Mam na imię John i jestem kamerdynerem Waszej Miłości.

– A gdzie ja jestem?

– Ależ jaśnie pan jest u siebie.

– Coś takiego!

– To tak samo prawdziwe jak to, że nazywam się John i jestem sługą Waszej Wysokości...

– Teraz nazywasz mnie Waszą Wysokością?

– Oczywiście. To tytuł przynależny lordowi Vilmotowi.

– Hę! Co to takiego?

– To jest nazwisko Waszej Wysokości.

– Głupcze, nie wiesz, kim jestem?! – zawołał Shoking.

– Lordem Vilmotem – powtórzył lokaj.

– Ależ nie, nazywam się Shoking.

– Shoking nie żyje! – odezwał się głos od drzwi.

Shoking odwrócił się i zobaczył *Szarego Człowieka*.

On również dokonał gruntownej toalety i zamienił łachmany na odzież dżentelmena.



Był nawet tak dobrze ubrany, jak tego dnia, gdy pod nazwiskiem lorda Cornhilla przybył na Kilburn Square, by odwiedzić dom pana Thomasa Elgina.

Shoking stał wpatrzony w *Szarego Człowieka*, którego nigdy nie widział tak ubranego.

- Chodź na kolację – powiedział ten – a opowiem ci, jak lord Vil-mot wszedł w skórę Shokinga.

Biedaczysko zrobił krok w stronę drzwi, ale kamerdyner powstrzymał go pełnym szacunku gestem.

- Sądzę – powiedział – że Wasza Wysokość zapomniał wziąć pieniądze.

To słowo podziałało na Shokinga jak deszcz lodowatej wody spadającej na głowę.

- Pie... niądze...! – wyjąkał.

- Pieniądze – powtórzył lokaj.

- A skąd mam je wziąć?

- Dalibóg, z sekretarzyka! – rzekł *Szary Człowiek*, wciąż się śmiejąc i wskazał na stojący w kącie garderoby inkrustowany złotem mebel.

Klucz tkwił w zamku. Shoking zdecydował się położyć na nim drżącą dłoń i ten się przekręcił. Mebel otworzył się.

- Dobrze – powiedział *Szary Człowiek* – a teraz otwórz tę szufladę.

Shoking ponownie usłuchał i nagle zrobił krok do tyłu. Szuflada była pełna złota.

- Och chyba oszaleję! – zawołał.

- Niech tak będzie, ale w międzyczasie włóż kilka gwinei do kieszeni – polecił *Szary Człowiek*.

Wówczas Shoking zanurzył rozgorączkowaną rękę w szufladzie.

Ponieważ jednak złoto parzy ręce tych, którzy nie są przyzwyczajeni do jego dotykania, biedak był powściągliwy; wyjął tylko pięć lub sześć gwinei i z wahaniem wsunął je do kieszeni.

*Szary Człowiek* wciąż się uśmiechał. Wziął Shokinga pod ramię i poprowadził go dalej. Kiedy wyszli z garderoby, rzekł do niego:

- Jesteś głodny?

- Nie wiem – odpowiedział Shoking.

- A spragniony?

- Też nie wiem.



Shoking nie wiedział nawet, czy jest martwy, czy żywy, więc skąd mógł wiedzieć, czy jest spragniony, czy głodny?

Dotarli do salonu, gdzie nakryto do stołu, ale Irlandki i jej syna już tam nie było.

- Gdzie oni są? - zapytał Shoking.

- W łóżku - odparł *Szary Człowiek*.

- Tutaj?

- Do licha, tak!

Wtedy żebrak dość rozsądnie wyraził swoje zdanie.

- Mistrzu - powiedział - odkąd się do ciebie przywiązałem, służyłem ci lojalnie.

- To prawda - potwierdził *Szary Człowiek*.

- Czy zasługuję na to, by wyśmiewać się ze mnie w ten sposób?

- Ale ja się nie wyśmiewam - odparł *Szary Człowiek*, siadając do stołu.

- Czyżby? - zapytał Shoking, który też usiadł przy stole i stwierdził: - Chyba jestem głodny.

- I założę się, że jesteś spragniony.

Powiedziawszy to, *Szary Człowiek* nalał mu napoju.

- Nektar! - orzekł Shoking, który wypił szklanekę jednym haustem.

Potem zauważył na rogu stołu kałamarz, kartki papieru i pióro.

- Po co to wszystko? - zapytał.

- Żeby spisać testament...

W tym momencie Shoking wydał głośny okrzyk i upuścił widelec.

- O mój Boże! - zawołał. - Zaczynam rozumieć, dlaczego powiedziałeś mi, że Shoking nie żyje... Wino, które właśnie wypilem, musiało być zatrute!



## Rozdział III



**C**o wydarzyło się między Shokingiem a *Szarym Człowiekiem* od tej chwili? Kogo pani Fanoche, która zjawiała się następnego ranka, zastała w sąsiednim domu?

Obecnie nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić i udamy się teraz na Piccadilly, do hotelu Saint James, gdzie przebywał *sir* major John Waterley i jego młoda żona, którzy poprzedniego wieczora przybyli tu ostatnim pociągiem.

*Miss* Emily Homboury, obecnie pani Waterley, została zobowiązana, zgodnie z angielskim prawem rządzącym wielkimi rodzinami, do zrzeczenia się swojej części spadku po ojcu. To prawda, że jej ojciec włożył do ślubnego koszyka piętnaście lub dwadzieścia tysięcy funtów w banknotach, ale to niewielka fortuna jak na angielską klasę wyższą.

Po przybyciu do hotelu Saint James nowożeńcy zajęli bardzo proste mieszkanie.

Była ledwie ósma rano i coś, co przypominało pierwsze światło dnia, zaczynało przebijać się przez mgłę. *Sir* John Waterley już wstał i usiadł przy łóżku żony. Rozmawiali ze sobą.

- Jesteś pewny, John, że go znajdziemy?
- Tak, kochana - odpowiedział major z emocją.
- Nie wyobrażasz sobie, mój drogi skarbie - kontynuowała młoda kobieta - jakie zgubne przecucia nawiedzają mnie dzień i noc.
- Skąd te przecucia, moja droga?
- Minęło jedenaście lat, odkąd mieliśmy jakiegokolwiek wieści o naszym dziecku.
- Zapewniam cię, że ono żyje.
- A ja - powiedziała panna Emily, chowając głowę w dłoniach - nie śmiem uwierzyć w twoje słowa.
- Jesteś szalona, moja droga. Przysięgam, że znajdziemy go dużego i silnego.

- Tak bardzo ufasz tej kobiecie, która się nim zaopiekowała?  
*Sir John* zadrżał.

- Ależ... naturalnie... - odparł.

- Biedne dziecko - powiedziała *miss Emily* - jaka będzie jego przyszłość? Nie będzie bogate...

- Będzie żołnierzem, jak ja - stwierdził major.

- Ach! Dlaczego nie podlegamy sprawiedliwsiemu prawom? - dodała młoda kobieta. - Mój ojciec miał miliony, a mój syn będzie biedny...  
*Sir John* pochylił głowę, a w jego oczach zabłysła łza.

- Mój ukochany aniele - powiedział do młodej żony - posłałem po dorożkę i pojedę na *Dudley Street*. Tam właśnie przebywała ta kobieta, gdy wyjeżdżałem, i jestem pewien, że tam znajdę naszego syna.

- Ale, mój drogi, dlaczego nie chcesz, abym pojechała z tobą? Dlaczego chcesz opóźnić moją radość, jeśli jest to radość, która nas czeka? - rzekła *Emily Waterley*, wzniosła oczy ku niebu i westchnęła.

- Moja droga - odpowiedział major - po pierwsze nie chcę, żebyś teraz mi towarzyszyła, ponieważ podróż cię osłabiła.

- Och, jestem silna!

- Po drugie, ponieważ radość boli tak samo jak ból, a ja boję się, że dopadną cię wielkie emocje. Proszę, zostań, wrócę za godzinę.

Powiedziawszy to major wyszedł, wsiał do dorożki i kazał woźnicy zawieźć się na *Dudley Street*. Odległość z *Piccadilly* do dzielnicy irlandzkiej jest niewielka i major pokonał ją w kilka minut.

Serce mu waliło, gdy jego dłoń spoczęła na gałce drzwi.

Major był jednak energicznym człowiekiem; walczył w dziesięciu kampaniach w Indiach, o czym świadczyła jego opalona twarz, i uczestniczył w kilku ciężkich bitwach. Ale w tej chwili był tak zdenerwowany, że wahał się, czy wejść do środka.

Jakby ktoś wewnątrz domu domyślił się jego udręki, drzwi otworzyły się, zanim naciśnął dzwonek.

W tym samym momencie na progu pojawiła się kobieta i z zaciekawieniem spojrzała na majora.

Nie była to stara dama z binoklami, lecz *Szkotka Mary*, którą *mistress Fanoche* wysłała do Londynu po rozmowie z tajemniczym osobnikiem z sąsiedniego domu.

*Mary* spojrzała na majora i zapytała:



– Czego Wasza Wysokość sobie życzy?  
– Rozmowy z *mistress* Fanoche – odparł.  
– To tutaj, a pan musi być majorem Waterleyem, czyż nie?  
– Tak.  
– Pani jest w swoim domku w Hampstead i przysłała mnie tutaj, abym czekała na Waszą Wysokość.

*Sir* John zadrżał.

– Jest w Hampstead z synem Waszej Wysokości – dodała Mary. Major krzyknął i oparł się o ścianę holu, takie ogarnęły go emocje.  
– Syn Waszej Wysokości jest dużym, pięknym dzieckiem – dodała Mary.

Major nawet tego nie usłyszał; wepchnął służącą do dorożki, usiadł obok niej i krzyknął do woźnicy:

– Do Hampstead!

– Na Heath Mount – dodała Szkotka Mary.

Woźnica miał dobrego konia, którego major jeszcze bardziej przyspieszył, obiecując dobry napiwek, i w niecałe trzy kwadransy dotarli do domku.

Pani Fanoche czekała na niego w swoim salonie. Dokonała drobiazgowej toalety i założyła wszystkie swoje pierścionki oraz bransoletki.

– Gdzie jest mój syn? – zapytał major, wchodząc do środka.

*Mistress* Fanoche uśmiechnęła się.

– Rozumiem niecierpliwość Waszej Wysokości – powiedziała. – Niemniej jednak błagam go, aby przez chwilę mnie wysłuchał. Syn Waszej Wysokości ma się dobrze, jest o dwa kroki stąd, a ja zabiorę pana tam za pięć minut, jak tylko mu powiem...

Major usiadł i zapanował nad zniecierpliwieniem.

*Mistress* Fanoche kontynuowała:

– Dziecko wychowała w Irlandii krzepka wieśniaczka, którą ono nazywa swoją matką. Kiedy otrzymałam pierwszy list od Waszej Wysokości, pospiesznie sprowadziłam ich oboje.

– Ale dlaczego nie ma ich tutaj? – zapytał major.

– Wasza Wysokość raczy wyjrzeć przez okno.

– Dobrze. I co dalej?

– Widzi pan mur ogrodu?



– Tak.

– Za nim znajduje się dom starego irlandzkiego lorda, bajecznie bogatego, który darzy pańskie dziecko sympatią.

– Ach! – szepnął major.

– Lord Vilmot nie ma dzieci ani krewnych i chciałby adoptować pańskiego syna.

Major zdrzął.

– Chciałam panu to powiedzieć – powiedziała *mistress* Fanoche – żeby nie był pan zbyt zaskoczony. A teraz, jeśli Wasza Wysokość pozwoli...

– Czy pokaże mi pani mojego syna?

– Tak, pokażę.

*Mistress* Fanoche zarzuciła szal na ramiona, otworzyła drzwi salonu, a *sir* John Waterley podążył za nią.

Dwie minuty później weszła do ogrodu willi, w której poprzedniej nocy Shoking myślał, że śni sen z *Tysiąca i Jednej Nocy*.

Ralph był w ogrodzie.

– Oto on – powiedziała *mistress* Fanoche.

Dziecko rzuciło zdumiony wzrok na majora, który blady ze wzruszenia, podbiegł do niego i wziął je w ramiona.

W tym momencie z domu wyszedł służący w liberii, podszedł do majora i powiedział:

– Lord Vilmot, mój pan, byłby szczęśliwy mogąc przyjąć Waszą Wysokość. Cierpi na podagrę<sup>2</sup> i nie może opuszczać swojego pokoju.

Major wciąż ścisnął tego, którego uważał za swojego syna!



<sup>2</sup> *Podagra* (dna moczanowa) – choroba charakteryzująca się napadowym, ostrym zapaleniem stawów, spowodowana odkładaniem się w tkankach soli kwasu moczowego.



## Rozdział IV



**R**ole zostały bez wątpienia wspaniale obsadzone i starannie przeciwiczone w obecności tego cudownego reżysera zwanego *Szarym Człowiekiem*, ponieważ w domu, do którego wszedł major Waterley, nie było nikogo, kto nie odegrałby swojej poprawnie.

Ralph, którego major ciągle obejmował, zapytał go naiwnie:

– Czy pan jest moim ojcem?

Na progu przedsionka major zobaczył kobietę zalewającą się łzami. Była to Irlandka, która złożyła dłonie, spojrzała na majora i powiedziała:

– Ach, panie, nie rozdzielaj mnie od tego drogiego dziecka... Dałam mu moje mleko... i kocham go, jakby wyszedł z mojego łona. Nie oddzielaj mnie od niego... będę ci służyć za darmo...

– Obiecuję ci to – odparł wzruszony major i ruszył dalej, podążając za starym sługą, który powiedział mu, że jego pan, lord Vilmot, niecierpliwie na niego czeka.

Lord Vilmot znajdował się w tym samym salonie, w którym Shoking i *Szary Człowiek* poprzedniego wieczora jedli kolację.

Major zobaczył starca owiniętego w obszerny szlafrok, leżącego na szezlongu<sup>3</sup> z głową owiniętą chustami. Przy nim stał ubrany na czarno mężczyzna, który mógł mieć trzydzieści siedem lub trzydzieści osiem lat.

– Doktor Gordon, mój lekarz – powiedział lord Vilmot, przedstawiając mężczyznę *sir* Johnowi Waterleyowi.

Doktor i major przywitani się. Służący wyszedł i zamknął drzwi.

Ralph podszedł i usiadł na brzegu szezlonga, ujął jedną z dłoni lorda Vilmota i powiedział pieszczotliwym głosem:

– Jak się dzisiaj masz, mój wielki przyjacielu?

<sup>3</sup> *Szezlong* – kanapa w kształcie wydłużonego fotela, na której można odpoczywać w pozycji półleżącej.



– Panie – rzekł lord Vilmot do majora – nie mam żadnych tajemnic przed doktorem Gordonem i pozwoli pan, że porozmawiamy w jego obecności, prawda?

Sir John zupełnie nie wiedział, co lord Vilmot, którego widział po raz pierwszy, może mu powiedzieć, ale był tak szczęśliwy, że ma przy sobie to dziecko, które uważał za swojego syna, że był gotów wysłuchać wszystkiego.

Zajął miejsce zaproponowane przez doktora.

– Panie – powiedział lord Vilmot – to małe dziecko, które tu widzisz, jest moją radością i zawdzięczam mu najlepsze dni mojej przedwczesnej i cierpiącej starości. Przychodzi do mnie codziennie, a jego widok przypomina mi o synu, którego straciłem i który był wszystkim, co kochałem na tym świecie. Czy to złudzenie? Może, ale to dziecko wydaje mi się żywym obrazem mojego zmarłego syna.

– Czy był w tym samym wieku, kiedy go pan stracił?

– Tak, panie – odparł lord Vilmot, coraz bardziej wzruszony.

Sir John wciąż nie wiedział, do czego zmierza chory.

– Panie – kontynuował lord Vilmot – zaatakowała mnie choroba, która według lekarza jest bezlitosna. Jutro mogę umrzeć, a chcę zapewnić przyszłość pańskiemu synowi.

– *Milordzie...* – wyjąkał major.

Lord Vilmot dał znak lekarzowi, który wziął z mebla portfel i podał mu go.

Lord Vilmot kontynuował:

– Nie mam najbliższych krewnych i chcę uczynić pańskiego syna moim spadkobiercą. Sporządziłem w tym celu testament, a wszystko, co musisz zrobić, to podpisać się na dole tego aktu, który już nosi mój podpis, aby adopcja była w porządku. Stawiam jednak jeden warunek tej adopcji...

– Proszę mówić, panie – rzekł major.

– Pański syn, dzięki fortunie i tytułowi, które mu zostawię, pewnego dnia będzie mógł wyrobić sobie wielkie nazwisko w świecie.

Major zadrzał z dumy.

– Musi więc zostać odpowiednio wychowany i chcę, aby został przyjęty do Christ's Hospital. Panu, oficerowi armii lądowej, łatwo będzie to przyjąć, ponieważ wolimy przyznawać tę łaskę dzieciom żołnierzy.



- W rzeczy samej – potwierdził major.
- Dodam nawet – kontynuował lord Vilmot – że chciałbym, aby natychmiast podjął pan niezbędne kroki.
- Podejmę – odparł *sir* John Waterley.
- Mogę umrzeć – powtórzył lord Vilmot – i nie będę ukrywał przed panem mojej niecierpliwości, by zobaczyć dziecko ubrane w niebieski kubrak i żółte pończochy. Na pierwszy rzut oka wyglądam jak ekscentryk, nieprawdaż? Jednak jeśli powiem panu, że syn, którego opłakuję, był uczniem w Christ’s Hospital, zrozumiesz mnie.
- Tak, *milordzie*.

Wówczas lord Vilmot wziął akt adopcji, rozłożył go i położył przed majorem.

Akt ten zawierał listę fortuny lorda Vilmota. Majątek ten składał się z renty w wysokości trzydziestu tysięcy funtów szterlingów i tytułów własności ziemskich znajdujących się w Irlandii.

Major już widział swojego syna jako bogatego człowieka; widział siebie jako pierwszego zarządcę tej ogromnej fortuny, więc zamierzał wziąć pióro zaproponowane mu przez lorda Vilmota i podpisać.

Doktor Gordon, lekarz, który nie odezwał się ani słowem podczas tej sceny, być może miał wpływ na to nagle postanowienie majora. Ten człowiek obdarzył go jednym z tych spojrzeń naładowanych tajemniczą magnetyczną siłą, która łamała wolę innych. To on wręczył majorowi pióro, który ten wziął do ręki. To on wskazał miejsce na dole aktu adopcyjnego, gdzie major miał wpisać swoje nazwisko. Oficer poczuł, że jego ręka jest popychana przez nieznaną siłę. Złożył podpis.

Od tego momentu był honorowo zobowiązany do spełnienia warunku nałożonego przez darczyńcę, to jest do przyjęcia chłopca, którego uważał za swojego syna, do słynnego koledżu Christ’s Hospital. Gdy tak się stało, spojrzął na lorda Vilmota i powiedział:

- *Milordzie*, w tej chwili biedna kobieta, biedna matka, która jeszcze nie wie, czy jej syn jest żywy czy martwy, z niepokojem oczekuje mojego powrotu. Czy pozwolisz mi pojechać do Londynu i sprowadzić *mistress* Waterley?

- Ależ oczywiście – odparł lord Vilmot.



Kiedy major odszedł, doktor Gordon, który był nikim innym jak *Szarym Człowiekiem*, i niby nieżyjący Shoking, obecnie lord Vilmot, spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

– Jestem z ciebie zadowolony – powiedział ten pierwszy.

– Mistrzu – odparł Shoking – wszystko, co tu zrobiliśmy, jest bardzo dobre, ale jest jedna rzecz, która mnie niepokoi.

– Jakaż to?

– Dziecko stało się synem *sir* Johna Waterleya.

– Do dnia, w którym będę mógł udowodnić majorowi, że Ralph jest synem *sir* Edmunda Palmure'a. Jednak ten dzień jest wciąż odległy, a gdy dziecko trafi do Christ's Hospital, będziemy spokojni i poczekamy, aż stanie się mężczyzną, by wyjawić mu zarezerwowaną dla niego misję.

– Zgoda, ale fortuna... kto ją zachowa?

– On, do licha!

– Więc ta fortuna istnieje?

– Naturalnie.

– Tytuły do renty nie są wymyślane?

– Nie.

– A ziemie w Irlandii?

– To wszystko jest częścią majątku poświęconego sprawie, której służymy.

– Ale w końcu – rzekł Shoking, który miał jeszcze jedno zastrzeżenie – czy Jenny zostanie w ten sposób oddzielona od syna?

– Nie, nie będzie.

– Jak to: nie?

– Załatwiłem jej pracę bieliźniarki w koledżu, do którego będzie uczęszczać jej syn.

– Czy to możliwe?

– Tak, dla niej i Suzannah.

– Siostrze Johna Coldena?

– Tak, jest.

– Biedny John! – westchnął Shoking. – On zapłaci za nie wszystkie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zostanie skazany na śmierć za zabicie pana Whipa.

– Tak.



- I zostanie powieszony.
- Nie – odparł *Szary Człowiek*.
- Och!
- Czy nie mówiłem ci, że go uratuję?
- Och, czy to będzie możliwe? – zawołał Shoking.
- Wszystko jest możliwe dla tego, kto chce – odrzekł *Szary Człowiek*.

Ton jego głosu był tak przekonujący, że Shoking miał nadzieję, że jeszcze zobaczy Johna Coldena. Wierzył w tajemniczego mistrza, który wyciągał dzieci z młyna bez wody.



# Rozdział V



**C**zas powrócić do bohatera tej historii, którego chwilowo straciliśmy z oczu. Chcemy pomówić o Johnie Coldenie. Johnie Coldenie, Irlandczyku, włóczędze, którego pewnego ranka na Dudley Street *Szary Człowiek* przywiązał do siebie tajemnym znakiem. Johnie Coldenie, który pomógł uratować dziecko z *młyna* i który padł ofiarą własnego oddania.

John wciąż przebywał w Coldbath Field. Jego rana była mniej poważna niż początkowo sądzono. Stracił dużo krwi, a pierwszego dnia szorstki i filantropijny lekarz, który należał do wybitnie humanitarnego stowarzyszenia, ale który chętnie posłałby złodzieja na szafot, ten lekarz, jak mówimy, zmarszczył brwi i mruknął:

– Obawiam się, że bandyta umrze w swoim łóżku, a szkoda, bo idealnie pasowałby do niego krawat z konopi.

Następnego dnia pogodna twarz dobrego doktora rozjaśniła się. John Colden poczuł się znacznie lepiej. Trzeciego dnia powiedział do niego z czarującą serdecznością:

– He! he! mój chłopcze, masz więcej szczęścia, niż na to zasługujesz!

A kiedy Irlandczyk spojrział na niego swoimi czarnymi, melancholijnymi oczami, powiedział:

– Wyzdrowiejesz, mój chłopcze, wyzdrowiejesz.

John Colden wzruszył ramionami.

– Co mnie to obchodzi! – rzekł.

– Za tydzień – kontynuował uradowany lekarz – poczujesz się jakby odczarowany.

Ponieważ ta wiadomość nie wywołała najmniejszego uśmiechu na ustach Johna Coldena, znakomity człowiek poczuł, że musi dodać:

– Pojutrze jest Boże Narodzenie. Możesz dobrze je spędzić w Newgate.

John Colden nawet się nie skrzywił.

– Masz krewnych? – zapytał lekarz.

- Mam siostrę.
- Jest bogata?
- Nie.
- Chcesz zostawić jej mały spadek?

John Colden spojrział na niego pytającym wzrokiem.

- To zależy od ciebie - ciągnął doktor - całkowicie od ciebie. Ale dziś nie chcę już o tym mówić; jutro porozmawiamy o tym ponownie...

Rzekłszy to, doktor wyszedł.

Następnego dnia, około siódmej rano wszedł do jego celi mężczyzna, którego John Colden nigdy nie spodziewał się zobaczyć.

Przez pierwsze trzy noce stan Irlandczyka był na tyle niepokojący, że uważano, że należy nad nim czuwać. Ale trzeciego dnia doktor uznał ten środek ostrożności za niepotrzebny. Jak zwykle zmienił opatrunek, ale potem odszedł. John Colden spędził noc sam.

Tak więc następnego dnia pierwszą osobą, która weszła do jego celi, był ktoś, kogo John Colden nigdy nie spodziewał się znowu zobaczyć.

Był to pan Bardel, główny strażnik, którego Jonathan oskarżył o współudział w ucieczce małego Irlandczyka.

Oczy Johna Coldena rozblęsnęły.

Pan Bardel był sam, mimo to przyłożył palec do ust, jakby zalecał Johnowi Coldenowi milczenie. Następnie zamknął drzwi celi i usiadł obok łóżka rannego.

- Nie spodziewałeś się mnie - powiedział.
- Nie - odparł John Colden.
- Myślałeś, że jestem w więzieniu?
- Tak.
- To Jonathan poszedł zamiast mnie.
- Więc uwierzyli w to, co powiedziałem?
- Tak, a *Szary Człowiek* zrobił resztę.
- Nadal jesteś szefem strażników?
- Bardziej niż kiedykolwiek. To w tym charakterze przyszedłem się z tobą zobaczyć. Jak się czujesz?
- Lepiej.
- Myślisz, że będziesz w stanie wstać?
- Dlaczego pan pyta?



- Ponieważ opuszczasz Coldbath Field.
- Ach!
- Mówi się o przewiezieniu cię do Newgate.
- Dzisiaj?
- Dziś wieczorem.
- Będę wkrótce sądzony?
- Na rozprawie dzień po Bożym Narodzeniu.
- Pojutrze?
- Dokładnie.

John Colden nawet nie mrugnął okiem.

- Spodziewałem się tego - powiedział. - Ale myślisz, że będę mógł zobaczyć Suzannah?

- Twoją siostrę?
- Tak.

- Nie - odparł Bardel. - Twoja siostra, zatrzymana przez policję, uciekła dzięki *Szaremu Człowiekowi*.

- Wiem o tym.
- Gdyby poprosiła o spotkanie, zostałaby ponownie zatrzymana.
- To prawda - stwierdził John Colden ze smutkiem i z jego oka wypłynęła łza. - Chciałbym zobaczyć ją jeszcze raz, zanim umrę - dodał.

Pan Bardel uśmiechnął się.

- Ba! Jeszcze nie umarłeś - powiedział.
- Sędziowie mnie skazą...
- To pewne.
- Królowa mnie nie ułaskawi...
- Na pewno nie.
- Zatem widzisz...
- Ale *Szary Człowiek* cię ocali.

Ten przydomek wywołał drżenie Johna Coldena.

- Jak cię uratuje? - kontynuował pan Bardel. - Tego nie wiem...
- To niemożliwe - zauważył John.
- Dla niego nie ma nic niemożliwego - odparł pan Bardel z akcentem przekonania.

- Niech Bóg cię wysłucha, ale mnie to nie obchodzi! Dopóki umieram za Matkę Irlandię, śmierć mnie nie przeraża - powiedział John,



a po chwili milczenia dodał: – skoro już jesteśmy przy tym temacie, pozwól, że poproszę pana o wyjaśnienie. Doktor zapytał mnie wczoraj, czy mam jakichś krewnych.

– Ach! – mruknął pan Bardel.

– I powiedział mi, że to ode mnie zależy, czy zostawię im mały spadek.

– Stara kanalia – szepnął pan Bardel.

– Co on miał na myśli? – zapytał naiwnie John Colden.

– Postuchaj – odrzekł pan Bardel. – Wiesz, że w Anglii nakazowi śmierci zawsze towarzyszy następująca formuła: *I oby jego ciało zostało dostarczone chirurgom.*

– Ach, tak, wiem o tym – potwierdził John Colden.

– Autopsje cieszą się w tym kraju złą sławą. Robotnicy, którzy umierają w hospicjach, są częścią społeczeństwa, które kupuje ich ciała. Lekarze od czasu jak powieszono ożywciciela Burkera nie wiedzą, gdzie znaleźć zwłoki, a doktor z Coldbath Field chciałby kupić twoje ciało. Jest bogaty i dobrze zapłaci.

– Ale po co miałby je kupować, skoro może je mieć za darmo? – zapytał John Colden.

– Mylisz się. Gdyby, co niemożliwe, zostałbyś powieszony...

– Trudno!

– Nie miałby go. Należałoby do chirurga z Newgate.

– Ach, tak!

– Ale jeśli ty mu je sprzedasz i jeśli zostanie udowodnione, że ci zapłacił, ciało będzie należało do niego.

– Dobrze! – rzekł John Colden. – Sprzedam mu je, a kwotę przekażę Suzannah.

– Ale co, jeśli zostaniesz uratowany...?

– Och!

– Przysięgam ci, że *Szary Człowiek* cię uratuje – dodał pan Bardel, szef strażników i wyszedł.

Godzinę później przyszedł doktor.

– No i co? Czy nadal jesteś zdecydowany zostawić coś swoim krewnym? – zapytał.

– Nie – odparł John – nie chcę sprzedawać swojego ciała.

– Dlaczego nie?





- Ponieważ ani pan, ani chirurg w Newgate go nie dostaniecie.  
- Coś takiego!  
- Nie zostanę powieszony – stwierdził John.  
Doktor wybuchnął śmiechem.  
- Zobaczymy, mój chłopcze – powiedział. – Tymczasem to jest moja ostatnia wizyta u ciebie.  
- Naprawdę?  
- Spędzisz Boże Narodzenie w Newgate.  
Doktor chciał jeszcze nalegać. Wyciągnął sakiewkę i podsunął błyszczące gwinee Johnowi pod oczy.  
Biedny Irlandczyk odpowiedział:  
- Nie chcę sprzedawać swojego ciała, bo musiałbym zostać powieszony, a ja nie chcę być powieszony!  
- Jest wielu innych, którzy mówili tak jak ty – powiedział doktor – a jednakże zostali powieszeni.  
Potem odszedł wściekły, że nie był w stanie spłatać figła swojemu koledze z Newgate – taki jest duch braterstwa wśród angielskich lekarzy!



# Rozdział VI



**K**iedy na końcu Strandu wejdiesz na Fleet Street, kiedy przekroczysz prostopadle tę ogromną arterię, która nazywa się Farringdon Street na lewym brzegu i Farringdon Road na prawym, kiedy właśnie przejdziesz pod tą monumentalną bramą, która oddziela miasto Londyn od miejskiej aglomeracji, nagle po twojej lewej stronie ukaże się ulica. To jest Old Bailey. Nie jest ani szeroka, ani wąska i na pierwszy rzut oka nie ma w niej nic przerażającego. Domy są ponure, jak prawie wszystkie w City; większość z nich zajmują biura. Tętniące życiem w ciągu dnia, w nocy nabierają ponownie nudnego i cichego wyglądu całego miasta, które handlarze opuszczają wieczorem, aby zamieszkać w okolicy. Jeden lub dwa szynki po lewej stronie, stragan rzeźnika nieco wyżej, białe mury i wieża kościoła nieco dalej. To wszystko, co widać po wejściu.

Jednak podejźcie jeszcze kawałek... Old Bailey nie jest już ulicą, to trójkątny plac, wąski, wydłużony, złowieszczy, ze smutną, milczącą budowlą po wschodniej stronie. To jest Newgate. Newgate to londyńskie Roquette<sup>4</sup>.

W Paryżu więzienia są usytuowane z dala od centrum miasta, od ekskluzywnych dzielnic. Sainte Pélagie stoi na przedmieściu Saint-Marcel, Mazas na przedmieściu Saint-Antoine, Roquette ukrywa się na górze Rue de Charonne.

Londyn umieścił Newgate w samym centrum City, dwa kroki od Saint Paul, poczty, banku i giełdy.

Newgate ma trzy bramy wychodzące na Old Bailey.

Ta pośrodku prowadzi do biur gubernatora i jego prywatnej kwatery. Więzień wchodzi do tego złowieszczonego budynku przez bramę po prawej stronie, a szafot wznosi się przed bramą po lewej, przez

<sup>4</sup> Więzienia La *Roquette* (Małe i duże Roquette) – dawne zakłady karne zlokalizowane w Paryżu, w 11. dzielnicy, po obu stronach Rue de la Roquette; dziś Square de la Roquette, największy w 11. dzielnicy, zajmuje dawną lokalizację Małego Roquette.

którą wychodzi skazaniec na śmierć. Wszystkie trzy są podniesione na trzech sklepionych stopniach wyposażonych w żelazne lance i okratowane okienka.

Na zewnątrz nie ma posterunków, żołnierzy ani wartowników. Obok Newgate przechodzi się jak przed zwykłym domem. Więzienie znajduje się pod kątem do innej ulicy, która nosi jego nazwę, czyli Newgate Street.

To w Newgate znajduje się koledź Christ's Hospital.

Na górze Old Bailey znajduje się St Bartholomew's Hospital<sup>5</sup>, którego amfiteatr przyjmuje ciała skazańców.

W dniu stawiania szubienicy, na godzinę przed wejściem skazańca na szafot, rozbrzmiewają dwa dzwony. Jednym z nich jest dzwon od St Bartholomew's Hospital, a drugim dzwon z Christ's Hospital. Milkną dopiero wówczas, gdy chirurdzy usuną ciało straconego.

Podobnie jak we Francji, egzekucja jest publiczna, tylko gilotynę zastępuje szubienica, ale godzina jest ta sama: piąta latem, siódma zimą.

Od poprzedniego dnia wieść o ponurej ceremonii rozeszła się po okolicy. Kupcy, którzy mają swoje biura przy Old Bailey, powiedzieli swoim pracownikom i urzędnikom:

– Jutro możecie przyjść godzinę później.

Świat interesu w Paryżu zaczyna się wcześniej. W Londynie jest inaczej. Przed dziewiątą nie ma otwartego żadnego sklepu.

Tak więc o dziesiątej, trzy godziny później, handlarz z Old Bailey przybywający omnibusem, *Penny Boat* lub koleją, nie znajduje śladu przerażającego dramatu, który mógł zobaczyć ze swego okna.

O wpół do piątej, na długo przed świtem, oddział policjantów przybył na Old Bailey, eskortując wóz ciągnięty przez mężczyzn i załadowany drewnem sprawiedliwości.

Policjanci rozciągnęli gruby łańcuch po obu stronach ulicy. Jest to bariera, której ludzie nie mogą przekraczać. O szóstej, przy świetle pochodni, wzniesiono rusztowanie i zaczęły bić dwa dzwony. Wtedy zaczęli zbierać się ludzie.

Ludzka rzeka, potok łachmanów, wzniósł się z brzegów Tamizy, zszedł z wyżyn Hampstead, przybył ze spelunek Wapping, które pozostawały

<sup>5</sup> *St Bartholomew's Hospital* (Szpital św. Bartłomieja), powszechnie znany jako Barts – szpital kliniczny zlokalizowany w londyńskim City, założony w 1123 roku przez Rahere.



otwarte przez całą noc, i ze złowrogich ulic Whitechapel, gdzie w każdym domu wiedzano o kimś, kto był stracony.

Przybywano ze wszystkich stron, wypełniając Farringdon Street, Newgate Street i obrzeża St Bartholomew's Hospital, przysiadając na dachach, wieszając się na ogrodzeniach placów i wspinając się na drzewa.

Ale to miejsce jest bardzo małe, a jeśli jest wielu przywołanych, niewiele jest wybranych. Wybrani to ci, którzy przybywają pierwsi. Jednak nikt nie narzeka. Nie słycać ani krzyków, ani szmerów. Te strumienie ludzkich ciał są cichsze niż fale morskie przy spokojnej pogodzie. Jeśli rozmawiają ze sobą, to przyciszonymi głosami.

Jeden na stu zobaczy szafot, jeden na tysiąc dostrzeże na skazańca. Nieważne! Ten, który jest najbliżej miejsca egzekucji, powie sąsiadowi, co widział; sąsiad powtórzy to swoim sąsiadom, a ćwierć mili od ohydneho spektaklu wszyscy dowiedzą się szczegółów.

Skazaniec przybędzie o siódmej. Jeśli jest odważny, przemówi do ludzi. Jeśli jest w agonii śmierci, po prostu obejmie księdza, pozwoli, by czarna czapka zakryła mu głowę i opadła na ramiona, a następnie otworzy się zapadnia i wszystko zostanie powiedziane. O ósmej chirurdzy stwierdzą zgon, a ciało zostanie usunięte.

Następnie ludzie odejdą tak, jak przyszli, łańcuchy zostaną zdjęte, rusztowanie zburzone, a kiedy kupiec i bankier przybędą ze wsi, spokojnie zajmą się swoimi sprawami, jakby nic się nie stało.

Tego dnia, dzień przed Bożym Narodzeniem, Old Bailey był świadkiem podobnego spektaklu. Rankiem biedny Francuz został powieszony za zamordowanie kobiety, która dzieliła jego niedolę. Oboje pijani z rozpacy, bez ubrań i chleba, dwaj nieszczęśnicy postanowili zakończyć swoje życie. Francuz najpierw zabił swoją kochankę, a następnie skierował okrwawiony nóż w stronę własnej piersi, ale jego drżąca ręka nie była w stanie wbić go do końca. Przeżył, sąd przysięgłych ogłosił go mordercą i skazał na powieszenie.

Tego samego ranka, kiedy ten nieszczęśnik spłacił swój dług wobec sprawiedliwości i choć była już prawie dziesiąta, a na Old Bailey nie pozostał najmniejszy ślad po egzekucji, na progach sklepów panowało ożywienie, a urzędnicy tłoczyli się i rozmawiali między sobą.

Dom zajmowany przez bank Harris Johnson and Co. był szczególnie gwarny. Wynikało to ze szczególnej okoliczności.



Harris miał oddział w Paryżu, a Francuz, który właśnie został powieszony, był zatrudniony w londyńskim biurze jakiś rok wcześniej. Szef firmy, pan Harris, zwolnił go, ponieważ zobaczył go pijanego w niedzielę.

Nawiasem mówiąc, pan Harris był dobrym człowiekiem i pomimo swojego religijnego purytanizmu, żałował swojej surowości, gdy dowiedział się o tragicznym końcu swojego byłego pracownika.

Tydzień wcześniej podjął nawet liczne kroki, aby uzyskać złagodzenie wyroku.

Urzędnicy, z których wszyscy znali biednego Oliviera – tak nazywał się człowiek, który został stracony – rozmawiali między sobą, a ten, który spał w domu, aby pilnować biur w nocy, przyznał, że stał w oknie i widział egzekucję ze wszystkimi szczegółami.

– A więc widziałeś to? – zapytał jeden z nich.

– Widziałem – odpowiedział – tak jak widzę ciebie.

– Coś powiedział?

– Nie, pocałował tylko Chrystusa, którego wręczył mu ksiądz.

– Ksiądz katolicki?

– Tak, katolicki ksiądz. Ojciec Samuel, Irlandczyk.

– Czy zginął dzielnie?

– Naturalnie.

– To już trzeci od początku roku – stwierdził inny urzędnik.

– A czwarty już czeka.

– Skazaniec?

– Tak, to niejaki Bulton. Zostanie powieszony w najbliższy poniedziałek.

– I nadchodzi piąty – dodał inny urzędnik. – Nie był sądzony, ale jest tak, jakby był. To Irlandczyk, który zamordował dozorcę w Coldbath Field.

– Jak się nazywa?

– John Colden.

– Panowie – powiedział surowy głos z drzwi biura – do roboty, proszę...!

Urzędnicy pospieszyli do środka.



## Rozdział VII



**G**łos, który właśnie usłyszeliśmy, należał do pana Moroka. głównego kasjera w Harris Johnson & Co., twardego i straszego człowieka. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat i od czterdziestu pięciu lat pracował w banku. W wieku czternastu lat był zatrudniony jako dyspozytor w biurach Harrisa, za czasów dziadka obecnego bankiera.

Niski, gruby, rumiany, o pełnych wargach, z żółtymi, źle osadzonymi zębami i łysy jak kolano, pan Morok nie wiedział nic o zwykłym życiu poza tym, co było bezpośrednio związane z działalnością banku. Dla niego świat był *ogromną księgą*, w której klienci byli podzieleni na dwie kategorie, dłużników i wierzycieli. Każdy, kto nie miał bezpośrednich lub pośrednich kontaktów z Harrisem, nie istniał.

Pan Morok był kawalerem, nienawidził kobiet i dzieci, i zwykł mawiać, że angażowanie się w sprawy rodzinne to godna pożałowania operacja.

Ponieważ nigdy się nie bawił, nienawidził ludzi, którzy to robili. Dzień, w którym pan Harris, człowiek przyjemności, powierzył mu zarządzanie bankiem, był złym dniem dla wszystkich pracowników. Pan Morok chciał, aby byli dokładni, pracowali dzień i noc i otrzymywali najniższe wynagrodzenie. Tego dnia pan Morok przybył do Old Bailey w gorszym nastroju niż zwykle.

– Pytam pana, drogi panie – powiedział do pana Colmansa, księgowego, który wszedł do jego okratowanej klatki podczas otwarcia biur – pytam pana, czy to rozsądne robić takie zamieszanie wokół nas na ulicy, na której znajduje się tak wiele poważnych domów. Oczywiście nie jestem filantropem i uważam, że kara śmierci jest konieczna; w przeciwnym razie splądrowaliby wszystkie nasze kasy. Ale czy to powód, by wykonywać egzekucje na ludziach przy Old Bailey? Całą noc nie mogłem spać z powodu tłumów na Farringdon, gdzie mieszkam. Dziś rano dzwony prawie rozbiły nam głowy. Teraz jest dziesiąta i nikogo nie ma na miejscu.

- Nie można wieszać o północy – zauważył nieśmiało księgowy.  
- Ale można wieszać gdzieś indziej niż przy Old Bailey.  
- A gdzież to, panie Morok?  
- Ech, czy ja wiem! Na przykład przed White Hall albo w jakiejś części West Endu, gdzie nie ma nic do roboty. Ale my tu jesteśmy poważnymi ludźmi. Poza tym, że takie przedstawienia są dla nas uciążliwe, stanowią zły przykład dla młodych ludzi. Spójrz na tych wszystkich przystojnych uwodzicielami stojącymi przed drzwiami, zamiast zabrać się do roboty.

Tymi ostatnimi słowami cnotliwy pan Morok wydał z siebie swój potężny głos, który zakłócił rozmowę urzędników.

Wszyscy wrócili na swoje miejsca w biurze.

Następnie pan Morok wrócił do swojej klatki i przystąpił do kasy, która miała cztery równie skomplikowane zamki, każdy ze słowem zmienianym co tydzień.

Księgowy pomyślał, że może kontynuować rozmowę:

- Nigdy pan czegoś takiego nie widział, panie Morok – powiedział.  
- Co takiego?  
- Egzekucji.  
- Nigdy.  
- Ale biura firmy są tu od dawna.  
- Ponad pięćdziesiąt lat, a ja jestem tu od czterdziestu sześciu.  
- Zgadza się – zauważył księgowy.  
- Średnio ludzie są wieszani pięć razy w roku, więc w ciągu ostatnich czterdziestu sześciu lat mógłbym zobaczyć około dwustu trzydziestu egzekucji.  
- I nigdy nie miał pan odwagi?  
- Och, to nie tak... kiedy człowiek zostaje powieszony, to dlatego, że na to zasłużył i od tego momentu w ogóle mnie to nie obchodzi.  
- Nie jest pan ciekawy?  
- Nie chodzi o to, że jeśli nigdy nie chciałem zobaczyć powieszonego człowieka, to dlatego, że uważam, iż wieszanie w Old Bailey jest niedorzeczne i nie chcę zachęcać Lorda Burmistrza i jego radnych do tego fatalnego zwyczaju.

- Dobrze – powiedział księgowy – nigdy nie był pan w Newgate?



- Tak, raz... tydzień temu. Pan Harris, którego filantropijne idee wywołują wzruszenie ramion, chciał, żebym poszedł zobaczyć tego nieszczęsnego Oliviera.

- I poszedł pan?

- Tak, poszedłem.

- Musiał pan być bardzo poruszony.

- Ja? Wcale.

- Ależ wszyscy go znaliśmy.

- Jakie to ma znaczenie?

- W środku Newgate musi być okropnie.

- Nie zajmowałem się tym - odparł pan Morok.

- A cela śmierci?

- Nie pamiętam, jak tam było.

Skończywszy otwierać swoją kasę, pan Morok zaczął przycinać pióro.

Księgowy zdał sobie sprawę, że jego przełożony nie ma zamiaru nic więcej mówić i wrócił do swojego biurka.

„Jakże głupi są ci wszyscy ludzie! - pomyślał pan Morok. - Co jest takiego ciekawego w zobaczeniu więzienia z człowiekiem, który ma zostać w nim powieszony?”

Gdy tak rozmyślał, rozległo się pukanie w kratę klatki.

Pan Morok podszedł i otworzył górne okienko.

Zobaczył przed sobą człowieka w podróżnym ubiorze, który powiedział do niego:

- Mówi pan po francusku?

- Tak, proszę pana - odpowiedział pan Morok z brytyjskim akcentem. - Czym mogę służyć?

- Właśnie przyjechałem z Paryża - powiedział mężczyzna - i mam akredytywę do waszego banku.

- Od którego banku?

- Od banku Monteaux et Lunel, na Boulevard Montmartre.

Pan Morok wyciągnął rękę.

- Proszę mi to dać - powiedział.

- Ponadto - kontynuował Francuz - chciałbym osobiście porozmawiać z panem Harrisem.

Pan Morok odpowiedział lekceważąco:





– Pan Harris nie przychodzi przed południem i niełatwo uzyskać widzenie. Zobaczmy pański list.

Akredytywa opiewała na dwieście funtów.

– Pokwituj mi pan na dole – powiedział pan Morok, szukając swojej książeczki czekowej.

– Jednakże – nalegał Francuz – zapewniam pana, że muszę porozmawiać z panem Harrisem.

– Napisz więc do niego i poproś o audiencję, być może zechce pana przyjąć.

– Ale ja muszę się z nim spotkać dzisiaj.

– To niemożliwe.

Pan Morok oderwał czek, na którym wypisał sumę dwustu funtów i przyłożył pieczęć banku.

Francuz kontynuował:

– Jestem chirurgiem z misją od mojego rządu.

– Pan? – zapytał lekceważąco pan Morok.

– A ponieważ nie znam nikogo w Londynie, pan Harris, który jest radnym, bardzo mi pomoże.

– Ależ, drogi panie – rzekł Morok – czy sądzi pan, że każdy, kto ma u nas kredyt w wysokości dwustu funtów...?

– Przepraszam – rzekł flegmatycznie Francuz i otworzył swój portfel. Następnie wyciągnął czerwoną kartkę papieru, którą położył przed zdumionym panem Morokiem. Był to kolejny list kredytowy, a na nim widniała wypisana ogromna suma czterdziestu tysięcy funtów, czyli miliona franków, a na dole widniał podpis paryskiego banku Rothschildów.

Pan Morok natychmiast cofnął się o krok, poprawił szylkretowe okulary i krzyknął:

– Jeremiasz! Jeremiasz!

Na to imię przybiegł młody urzędnik.

– Jeremiaszu, weź dorożkę – powiedział pan Morok – i pędź na *Elgin Crescent*<sup>6</sup>, w Notting Hill, do pana Harrisa i poproś go, żeby jak najszybciej przyjechał.

<sup>6</sup> *Elgin Crescent* – ulica w Notting Hill w Londynie w Anglii; biegnie na zachód od Portobello Road, przecina Ladbrooke Grove, a na jej południowo-zachodnim krańcu łączy się z Clarendon Road.



Następnie, otwierając drzwi okratowanego biura, zapytał unie-  
nie uśmiechniętego Francuza:

- Dlaczego nie zada pan sobie trudu i nie wejdzie?

Następnie pospiesznie podsunął podróżnemu krzesło.



## Rozdział VIII



**P**an Harris, szef firmy Harris Johnson and Company, miał własny dom przy Elgin Crescent, tuż obok Kinsington Garden. To jedna z najodleglejszych i najspokojniejszych części West Endu. Tutaj każdy ma własny dom z widokiem na wspólny plac. Nie ma tu żadnych sklepów, butików ani domów handlowych.

To w połowie arystokracja, w połowie klasa średnia, gdzie ludzie, którzy przez cały dzień przebywają w centrum miasta, przychodzą każdego wieczora, aby na nowo odkryć życie rodzinne i spokojne radości domu.

Pan Harris miał młodą żonę, która była bardzo światowa i którą często zabierał na bale. Poprzedniej nocy uczestniczył we wspianym przyjęciu, które zakończyło się dopiero wraz z pierwszymi promieniami świtu. Tak więc pan Harris nie spał od godziny lub dwóch, kiedy przybył urzędnik wysłany przez pana Moroka.

Pan Morok nie zwracał głowy swojemu szefowi częściej niż dwa razy do roku. Mocno trzymał się codziennych spraw i aby posłać po pana Harrisa wymagało to nadzwyczajnych okoliczności.

Francuski bankier, obudzony z pierwszego snu, byłby w podłym nastroju, ale pan Harris wstał bez słowa, umył się z najwyższym spokojem i, nakazawszy wprowadzić urzędnika, po prostu zapytał go, czy wie, dlaczego pan Morok mu przeszkadza.

Na to urzędnik odpowiedział, że na Old Bailey przybył nieznajomy Francuz, który chce się z nim zobaczyć.

– Czy posiada akredytywę? – zapytał pan Harris.

– Tak.

– Zna pan kwotę?

– Czterdzieści tysięcy funtów.

To było wystarczające wyjaśnienie. Człowiek, który w ciągu minuty może dotknąć czterdziestu tysięcy funtów, zawsze ma prawo przeszkadzać bankierowi, nawet jeśli ten ostatni spędził noc na balu. Pan Harris

miał konie i powozy, a jego ekwipaże można było dostrzec w Hyde Parku. Tym razem nie wydał rozkazu do zaprzęgnięcia.

Z tą prostotą, jaka cechuje Anglików, wskoczył do dorożki swojego urzędnika i usiadł obok niego.

Trzy kwadranse później dotarł na Old Bailey.

Francuz wciąż tam był, w biurze pana Moroka, który uznał za swój obowiązek dołożyć trochę koksu do pieca i podać gościowi dwie francuskie gazety, które dotarły na adres pana Harrisa.

Pan Harris wszedł i spojrział na Francuza z tą flegmą, której Anglicy zawsze się trzymają, po czym zwrócił się do niego po francusku:

– Jestem pan Harris – powiedział – i jestem do pańskich usług.

– Panie – odpowiedział Francuz – proszę o wybaczenie, że przeszkodziłem panu, ale jestem dostawcą listu od pańskich korespondentów w Paryżu.

Po raz trzeci otworzył portfel i wyciągnął kopertę opatrzoną suchą pieczęcią banku Harris and Johnson, Paris, rue de la Chaussée d'Antin, 67.

– Panie, proszę do mojego gabinetu – powiedział pan Harris, który otworzył drzwi na drugim końcu gabinetu pana Moroka i odsunął się, by przepuścić gościa.

Gdy zostali sami, pan Harris otworzył list swojego korespondenta i przeczytał:

*Przysyłamy Panu Firmina Bellecombe'a, chirurga, któremu Paryska Szkoła Medyczna zleciła przeprowadzenie badań nad powieszzeniami. Pan Firmin Bellecombe jest niezmiernie za-  
możny i przywozi z Paryża weksle z kilku banków. Uczyni Pan  
zaszczyt wszystkim, których on Panu przedstawi. Ufamy, że  
odda się Pan całkowicie do jego dyspozycji w zakresie wszel-  
kich usług, jakich może potrzebować.*

*W szczególności pan Firmin Bellecombe chciałby odwiedzić  
więzienia, zwłaszcza Newgate. Chciałby również przeprowadzić  
eksperymenty na ciałach skazańców. Pańska pozycja jako rad-  
nego pozwoli zapewnić mu wszelkie ułatwienia w tej kwestii.*

Ten list, jak widać, był pilny.



Po jego przeczytaniu pan Harris spojrzął na swojego gościa. Był to młody mężczyzna, nie więcej niż trzydziestoosmioletni, z brązowymi bokobrodami i inteligentną twarzą. W jego oczach było coś magnetycznego i władczego, co uderzyło pana Harrisa. Bankier powiedział do niego:

– Jestem do pańskich usług. Co mogę zrobić, by pana zadowolić?

– Proszę pana – odpowiedział Francuz – czy dziś rano przed pańskimi drzwiami powieszono skazańca?

– Tak.

– Czy ciało ofiary zostało zabrane do St Bartholomew’s Hospital?

– Nie wiem, ale jest to prawdopodobne.

– Chciałbym skontaktować się z głównym chirurgiem szpitala i asystować przy sekcji zwłok. Co muszę zrobić, aby tak się stało?

– Proszę pana – odpowiedział pan Harris – to będzie łatwe, o ile będzie pan miał list polecający od Lorda Burmistrza.

– A... ten list?

– Dopilnuję, by go pan otrzymał.

Po tych słowach pan Harris zadzwonił dzwonkiem i polecił zamówić dorożkę.

– Pojedzie pan ze mną? – zapytał chirurga.

– Jak pan sobie życzy – odpowiedział Francuz.

Pan Harris wziął kapelusz, płaszcz i rękawiczki, a Francuz poszedł za nim.

Z Old Bailey jest niedaleko do King’s Street, dzielnicy, w której stoi Guild Hall, to znaczy ratusz City Londynu. To tutaj Lord Burmistrz ma swoje biura.

Francuz został w dorożce, a pan Harris wszedł do budynku. Wyszedł po kwadransie. Lord Burmistrz nie mógł odmówić radnemu. Pan Harris otrzymał kartę wstępu do St Bartholomew’s Hospital i drugą do Newgate.

– Panie – powiedział do Francuza – będę miał zaszczyt zabrać pana do St Bartholomew’s Hospital. To tam chce pan zacząć, prawda?

– Tak, proszę pana – odpowiedział chirurg.

Francuz wcześniej przyznał, że bardzo słabo zna angielski, a pan Harris był szczęśliwy, mogąc zostać jego tłumaczem.



Anglicy są zimni i sztywni wobec obcych. Jeśli jednak zostaną im przedstawieni i zarekomendowani, maska spada, to stają się gościnni i aż nadmiernie usłużni.

Pan Harris uważał już Francuza za swojego gościa i czuł się zobowiązany pozostać całkowicie do jego dyspozycji.

Kiedy przybyli do St Bartholomew's Hospital, pan Harris pokazał swoją wizytówkę i przez chwilę rozmawiał z dozorcą. Potem, po wyjaśnieniach których ten mu udzielił, pan Harris zwrócił się do Francuza:

- Panie - powiedział - ciało straceńca nie zostało tu przywiezione.

- Ach!

- Pozostało w Newgate, gdzie zostanie pochowane.

- Bez przeprowadzenia sekcji?

- Chirurdzy ograniczyli się, zgodnie z prawem, do wykonania dwóch nacięć, jednego od góry do dołu, drugiego poprzecznego, i zrezygnowali z sekcji.

- Dlaczego?

- Prawdopodobnie dlatego, że ponieważ jutro jest Boże Narodzenie, nie chcą przeprowadzać sekcji.

- Ach! - mruknął ponownie Francuz. - Ale czy będę mógł zobaczyć ciało?

- Mam nadzieję, że tak, ponieważ mamy pozwolenie na wejście do Newgate.

Pan Harris i chirurg wrócili do dorożki, którą zostawili przy bramie.

W tym momencie przeszedł obok człowiek ubrany w znoszone ubranie i wymienił ukradkowe spojrzenia z Francuzem.

Był to nie kto inny jak Shoking.



## Rozdział IX



**K**ilka minut później dorożka pana Harrisa zatrzymała się przed Newgate, przy środkowej bramie, prowadzącej do prywatnych kwater gubernatora.

Newgate to najważniejsze więzienie w Anglii. Tytułarny gubernator jest pułkownikiem. Jest to wysoko postawiona osobistość, którą widuje się tylko przy specjalnych okazjach i która pozostawia większość pracy swemu zastępcy.

Ten nazywa się *sir Robert M...* Jest krzepkim mężczyzną po pięćdziesiątce, z blond włosami, niebieskimi oczami i wiecznym uśmiechem na twarzy. Nosi zielony mundur z potrójnym srebrnym galonem na lewym rękawie i okrągłą czapkę z lakierowanej skóry, której daszek jest również ozdobiony galonem.

*Sir Robert M.* jest zastępcą gubernatora Newgate od ponad dwudziestu lat.

Kontakt z więźniami, dźwięk kajdan, złowrogi blask pochodni zapalanych przy okazji wznoszenia szafotu, ponure przygotowania do toalety skazańców, nie mogły stłumić tej zasadniczo pogodnej natury. *Sir Robert M...* jest człowiekiem w Wielkiej Brytanii, którego humor jest jak najbardziej czarujący.

Ma to szczęście, że może pokazać swoje więzienie jakiemuś szlachetnemu nieznanemu, któremu Lord Burmistrz pozwolił przekroczyć bramy Newgate.

To właśnie do niego zwrócił się pan Harris.

*Sir Robert M...* spojrział z zaciekawieniem na francuskiego chirurga. Bez wątplenia spodobał się mu, gdyż natychmiast wyciągnął rękę. Zresztą *sir Robert M...* lubił każdego, kto odwiedzał Newgate.

Środkowa brama, ta gubernatora, otwiera się na korytarz, a po prawej stronie znajduje się kancelaria.

Wszystko, co *sir Robert M...* musiał zrobić, to odpiąć klucz od swego pasa i otworzyć bramę, by z kancelarii odwiedzający znaleźli się

w więzieniu, ale zbyt był zajęty urządzeniem małego przedstawienia, by tak zrobić.

– Idźcie dookoła – powiedział do pana Harrisa.

Pan Harris i chirurg wyszli więc i zadzwonili do pierwszych drzwi, do których prowadzą trzystopniowe schody. Drzwi są wykonane z żelaza, z małym okienkiem i zwieńczone żelaznymi prętami w kształcie lanc, które sięgają aż do sklepienia.

Wtedy pan Harris i pan Firmin Bellecombe (jak nazywał siebie chirurg) znaleźli się w pokoju o powierzchni dziesięciu stóp kwadratowych, z kancelarią po ich lewej stronie i portiernią po prawej.

Naprzeciwko nich znajdowały się kolejne drzwi, również wykonane z żelaza, wyposażone w ogromny zamek i trzy zasuwki, i tak niskie, że pan Harris, który był wysoki, był zmuszony schylić się, aby przekroczyć próg po tym, jak *sir* Robert M... je otworzył. Następnie cała trójka znalazła się w dość ciemnym korytarzu, który okrążał całe więzienie.

*Sir* Robert zamknął drzwi i powiedział z uśmiechem:

– Stąd nigdy się nie wychodzi.

– Ale czy ktoś opuszcza Newgate? – zapytał pan Harris.

– Rzadko. Ale są przykłady... – odparł wesoly gubernator, nadal się uśmiechając.

Na końcu korytarza, po lewej stronie, znajdowało się dość duże pomieszczenie, pośrodku którego stał rodzaj oszklonej klatki.

– Co to jest? – zapytał pan Harris, który, choć był radnym, nigdy nie odwiedził więzienia.

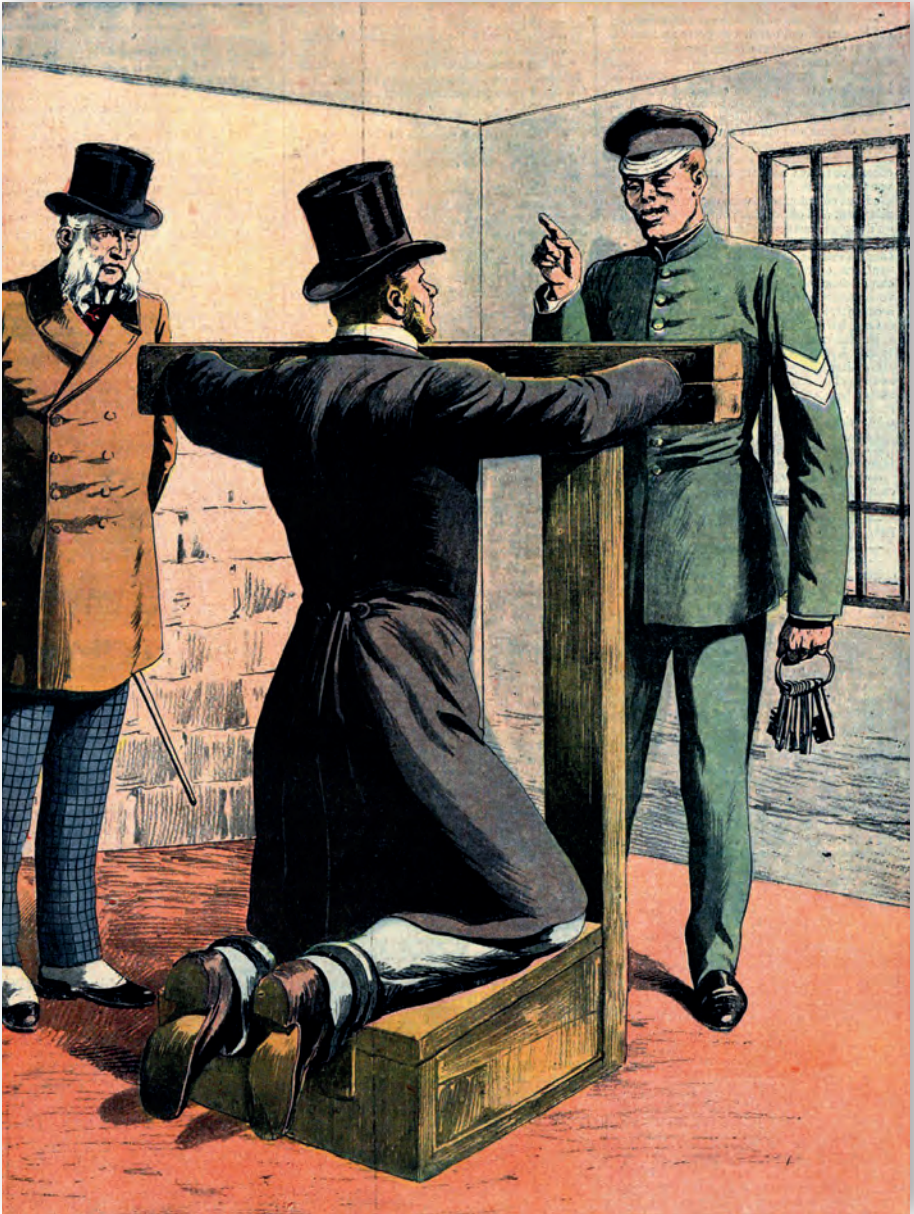
– To sala widzeń prawników – odrzekł *sir* Robert M... – Więzień jest wprowadzany z jednej strony, jego adwokat z drugiej i obaj siadają naprzeciwko siebie przy stole pośrodku. Potem zamyka się te drzwi. Dwóch strażników chodzi wokół klatki; widzą wszystko, co robią więzień i prawnik, ale nic nie słyszą z tego, co mówią. Takie jest angielskie prawo, które szanuje wolność obrony.

Po sali widzeń ukazał się jeden z korytarzy z celami. *Sir* Robert M... otworzył drzwi jednej celi. Natychmiast więzień, który siedział na łóżku i czytał, wstał, usunął się pod ścianę i zasalutował po wojskowemu.

*Sir* Robert z wielką przyjemnością pokazał obu gościom celę ze wszystkimi jej szczegółami, od łóżka z rzemieni, przymocowanego







– Kiedy wróci pan do swojego kraju, będzie mógł powiedzieć, że był w bloku. Tak nazywamy narzędzie, którego używamy do wymierzania razów kieszonkowcom.



do ściany, po latarnię gazową, który dostarczała więźniowi światło; od półki, na której trzymał swoje rzeczy: grzebień, szczotkę i gąbkę, po tę, na której mógł mieć Biblię i różne książki zatwierdzone przez gubernatora.

Wszystkie zwykle cele są urządzone w ten sam sposób.

Pan Harris, który pełnił rolę tłumacza Francuza, ponieważ *sir* Robert M... mówił tylko w swoim ojczystym języku, wyraził chęć zobaczenia sali poprawczej, a następnie lochów skazanych na śmierć.

Sala poprawcza to małe pomieszczenie, w którym nie ma nic złowieszczego. Ściany są białe, a sala oświetlona jest trzema oknami wychodzącymi na wewnętrzny plac. Ale na środku znajduje się mały mebel, narzędzie, instrument, coś, czego użytkowanie jest trudne do odgadnięcia, ale co przyciąga uwagę. Jest to rodzaj skrzynki w kształcie mównicy, zwieńczonej poprzeczną łąką, która nadaje jej wygląd kłęcznika, i która ma w sobie dwa otwory.

Gdy Francuz przyglądał się temu dziwnemu meblowi, nagle *sir* Robert M... chwycił go za ramiona, pchnął na mebel i natychmiast jego kostki zostały złapane na dole, a oba nadgarstki zaczęły się o poprzeczkę. Wtedy zastępca gubernatora, śmiejąc się jeszcze mocniej, powiedział do niego:

– Kiedy wróci pan do swojego kraju, będzie mógł powiedzieć, że był w *bloku*. Tak nazywamy narzędzie, którego używamy do wymierzania razów kieszonkowcom.

Następnie, usatysfakcjonowany tym eksperymentem, *sir* Robert uwolnił pana Firmina Bellecombe'a, dodając:

– Teraz pokażę wam loch.

*Sir* Robert M... był w najprzyjemniejszym nastroju na świecie.

Poprowadził dwóch gości do końca korytarza, otworzył drzwi, a Francuz wszedł do celi pogrążonej w głębokiej ciemności, tak głębokiej, że kiedy *sir* Robert zamknął drzwi, pan Harris i jego towarzysz, którzy byli dwa kroki dalej, nie mogli go zobaczyć.

Wciąż się śmiejąc, wicegubernator powiedział do nich:

– Na mocy mojej dyskrecjonalnej władzy mam prawo pozostawić tam niesubordynowanego więźnia na trzy dni i trzy noce, o chlebie i wodzie.

Później z lochu przeszli na wewnętrzny plac. Był to długi, wąski dziedziniec otoczony wysokimi murami.



Francuz długo przypatrywał się temu miejscu.

– O czym pan myśli? – zapytał *sir* Robert.

– Myślę, że ucieczka stąd musi być trudna – odpowiedział przez pana Harrisa.

*Sir* Robert wzruszył ramionami.

– Uciekano z Clarkenweld – powiedział – z *Horsemonger Lane*<sup>7</sup>, *Coldbath Field*, nawet z *Tower of London*, kiedy było więzieniem, ale nigdy z *Newgate*!

Kiedy dotarli do końca dziedzińca, poprowadził ich do nowego korytarza na który otwierało się dwoje drzwi. To były cele skazanych na śmierć. Jedne z tych drzwi były otwarte.

Pan Harris, który wyszedł do przodu, nagle cofnął się o krok.

Właśnie zobaczył leżące na łóżku zwłoki. Obok paliła się gromnica. Przy łóżku klęczało dwóch młodych mężczyzn i dwie modlące się kobiety. Zwłoki należały do nieszczęsnego straceńca.

Dwie kobiety były ubrane w długie wełniane suknie, a ich twarze były zakryte czarnymi woalkami.

Dwaj młodzi mężczyźni mieli na sobie mundurki uczniów *Christ's Hospital*, żółte pończochy i niebieski kubrak, a zgodnie z rozkazem króla *Edwarda VI* ich głowy były odkryte.

Zwłoki były przykryte prześcieradłem i nie było widać twarzy.



<sup>7</sup> *Horsemonger Lane Gaol* (znane również jako *Surrey County Gaol* lub *New Gaol*) – więzienie położone w pobliżu dzisiejszego *Newington Causeway* w *Southwark*, na południu Londynu; zbudowane pod koniec XVIII wieku, było używane do 1878 roku.



*Przy łóżku klęczało dwóch młodych mężczyzn i dwie modlące się kobiety.*

**Chcesz przeczytać dalszą część?**

*Zapraszamy do księgarni!*

